Rok I. Lwów, dnia 1. Grudnia 1894. **Numer 9.**

Prenumerata we Lwowie i na prowincyi kwartalnie 80 ct., półrocznie 1·50 rocznie 3 złr.
Numer pojedynczy 15 ct.
Numera pojedyncze mają na sprzedaż księgarnie i biura dzienników.

KRONIKA
społeczna i literacka.
Wychodzi dwa razy na miesiąc.

Adres Redakcyi i Administracyi:
Lwów ulica Kręta l. 10.
I. piętro.
Cena ogłoszeń 10 ct. za wiersz petitowy czterołamowy.
Rękopisów redakcya nie zwraca.

W sprawie ruskiej.

Ciągle jeszcze „nierozwiązana“, ciągle krwawiąca się i bolesna, jest ona na organizmie naszym zmorą, jedną z tych niezliczonych, które zawdzięczamy niegdyś feudalnej, a dziś kapitalistycznej gospodarce. Ostatniego słowa w tej kwestyi, pomimo tysiąca, mniej albo więcej bezsensowych, a zawsze tylko półśrodkami operujących „prób rozwiązania“ nie wypowiedział dotąd nikt z tej przyczyny, że lawirując w sferze podrzednych objawów, nie sprowadził jej do właściwego mianownika i nie postawił na jedynie prawdziwym gruncie. Jak większa część objawów życiowych, i tak zwana „kwestja ruska“ zawdzięcza swój początek zatargom społeczno-ekonomicznym i jedynie z tego punktu widzenia obserwowana, staje się zrozumiałą i jasną. Widownią jej w chwili obecnej, dzięki niektórym koncesyom konstytucyjnym, jest tylko Galicya, ona zatem posłuży na razie do zanalizowania wyrosłego na jej ciele wrzodu. Dwujęzyczna ta prowincya nie ma wprawdzie samoistnego życia politycznego, gdyż związana jest z państwem austryackiem, jednakże szlachta stanowi w niej i dziś jeszcze warstwę rządzącą, jak za owych dobrych czasów, kiedy się piło i jadło tak, że aż przysłowia powstawały. Piękne dni Aranjuezu nie przeszły jeszcze: dawny szlachcic, dziś przedzierzgnięty oficyalnie w „wielkiego obszarnika“ lub kapitalistę, zrywający najsmaczniejsze owoce produkcyi społecznej, mówi po polsku; chłop, przykuty do pługa i brony, mówi po rusku; oto całe określenie tej kwestyi, będącej w gruncie rzeczy tylko kwestyą ekonomicznego znaczenia, a wskutek różnicy językowej dwu stron walczących sprowadzonej do mianownika walki dwóch narodów. Stosunek ujarzmionych do panujących pozostał i dziś ten sam, a w historyi mamy przykładów bez liku, że organizacja panowania tworzy formę tylko dla treści, którą jest wyzysk pracy ujarzmionych przez panujących. Stąd walka klasowa, która zaznacza się stałą opozycyą, chwilami zaś gwałtownym wybuchem, po którym następuje chwilowy spoczynek, gdyż natura ludzka nie znosi ciągłego wzburzenia. Z dziejów naszych przypomnijmy sobie wielką zawieruchę kozacką za Bohdana Chmielnickiego, która nie była niczem innem, jak tylko walką klasową przeciw szlachcie, krwawym odwetem za to, iż w ucisku przeszła granicę możliwości. Po tych socjalnych zaburzeniach było przez pewien czas cicho, chociaż na Rusi zadnieprskiej wrzało ciągle jak w ulu W Polsce nowy wybuch nastąpił pod koniec zeszłego wieku pod nazwą rzezi humańskiej, która miała te same przyczyny, co i dawniejsza zawierucha. Z półwiecznej martwoty ożywił Rusinów prąd wolnościowy, który w r. 1848 zelektryzował Europę. Odtąd, zamiast na noże, zaczęła się walka w parlamentach, sejmach i innych ciałach reprezentacyjnych. Walka ta dzisiejsza nie broczy krwią, ale jest niemniej zaciętą i śmiertelną. Rusini usiłują uwolnić się od obcej im przewagi, i wytężają w tym kierunku wszystkie siły, szlachta polska natomiast opiera się z zaciętością zrozpaczonego, nie chcąc z zajętego stanowiska ustąpić dobrowolnie co jest rzeczą naturalną i zrozumiałą. Wskutek tego powstają różne wzajemne rekryminacje: Rusini narzekają na gwałtowny, prawie nie do wytrzymania ucisk, szlachta zaś w organach swoich dowodzi coś wręcz przeciwnego i zarzuca Rusinom, że dążą do wyrugowania polskiego żywiołu, identyfikując go mylnie ze sobą, bo przecież szlachta polska nie jest narodem polskim.

Atoli pod wpływem nowych prądów z zachodu szlachta ustępuje z widowni, co dzień po dniu śledzić możemy, a na jej miejscu pojawia się nowy żywioł rządzący: mieszczaństwo polskie, które o wiele silniej, aniżeli szlachta, usadowiło się na Rusi, gdzie wszystkie miasta są polskie. Burżoazyi chodzi zaś o dwie rzeczy: o łatwe rynki zbytu swoich towarów i o posady rządowe lub autonomiczne dla inteligencyi, która z jej łona powstała. O pierwszym celu mówić nie będziemy, z tej racyi, że Rusini na razie nie mogą jeszcze konkurować na rynkach targowych, więc decydująca walka rozegra się o rzecz drugą, nie mniej ważną jak ta pierwsza. Walka ta z burżoazją będzie dla Rusinów trudniejszą, aniżeli z ustępującą szlachtą, gdyż nie posiadają

oni zbyt wiele inteligencyi, któraby polską inteligencyę mogła wyrugować. Ponieważ zaś inteligencya wychodzi ze szkół, zatem kampanię rozpoczynają ci Rusini, którzy ucząc się w szkołach polskich, zachowali swój osobny ruski patryotyzm, i stają na czele swego społeczeństwa, tworząc jądro przyszłej inteligencyi ruskiej. Przeto okrzykiem bojowym z ich strony jest *szkoła ruska*, a mianowicie ruskie gimnazya i uniwersytety. Szala w tej walce przechyla się powoli, ale stanowczo na stronę Rusinów. Dotąd zdobyli sobie paralelki w dwóch gimnazyach, w Przemyślu i Kołomyi, oraz katedrę dla historyi powszechnej na uniwersytecie lwowskim. Z tych dwóch źródeł wyniknie dalszy rozwój walki, która wytworzy odpowiednie zastępy rodzimej inteligencyi ruskiej, a ta w nieuniknionej konsekwencji zetrze się z osiadłą na Rusi burżoazyą polską, której, jak każdej innej, rozchodzi się w pierwszym rzędzie o rynki targowe. O nie też rozegra się kiedyś zacięta walka, podobna do walk kozackich, a będzie tem straszniejszą, że jądro jej stanowić będzie kwestya powszedniego chleba. Zredukowanie tak zwanego „ucisku Rusinów przez Polaków“ do walki klasowej, która wszędzie i zawsze stanowiła i stanowi oś, około której obracają się wypadki historyczne, o wiele jaśniej i wyraźniej przedstawia genezę wzajemnego antagonizmu polsko ruskiego. Podawanie innych przyczyn jest tendencyjnem mydleniem oczu przez tych, którzyby wbrew prawom socjologicznym chcieli w społeczeństwach widzieć harmonię i spokój, a nie walkę i kontrast. Niestety, piękne te marzenia nauka dawno już w puch rozbiła.

Psychologja anarchizmu.

III. Pogardy Nietzschego do socyalizmu anarchiści nie dzielą jeszcze. Razem dotąd prowadzą walkę ze współczesnym ustrojem społecznym, tylko różnica i ukryta między tymi kierunkami sprzeczność nie zawsze wyłonić się zdołała, a nigdy chyba dwie rzeczy równie sobie obce, nie były równie często identyfikowane. Rzeczywiście, najgorszym, najsilniejszym wrogiem anarchizmu jest socjalizm. Co wspólnego może być między doktrynami, z których pierwsza jednostkę za jedyny swój cel stawia, gdy druga jednostkę tylko jako składową część społeczeństwa uznaje i sądzi, że szczęśliwa jednostka tylko w szczęśliwem społeczeństwie istnieć może. Socyalizm też dostrzega w naszem stuleciu przeważnie zewnętrzne, społeczne dolegliwości i na nie szuka ratunku w odmiennem tylko, lecz równie skrępowanem tegoż społeczeństwa przebudowaniu. Anarchizm dąży do najbardziej nieograniczonej swobody, w socjalizmie kryje się poważne dla wolności jednostki niebezpieczeństwo. „Indywidualizm, trafnie powiada Ibsen w „Dzikiej kaczce“, jest zbytkiem natury“ a kto wie, czy socjalistyczne społeczeństwo na zbytek ten pozwolić sobie będzie mogło. Jednostka tak się roztopi w społeczeństwie, że indywidualne jej cierpienie stanie się niezrozumiałem, a zatem komicznem. Socyalizm ośmieszy tragedyę. Różnica nie do przebycia, która anarchizm od socjalizmu dzieli, odzwierciedla się też tam, gdzie każdy z tych kierunków najwięcej wyznawców liczy. Socjalizm największe tryumfy święci w Niemczech, gdzie jednostka przez szkołę i dyscyplinę wojskową przyzwyczajona jest do niewoli i posłuszeństwa, a warunki historyczne niezbyt bogato w cechy indywidualne ją uposażyły; anarchizm gwałtownie rozszerza się we Francyi i Hiszpanii*), gdzie bardziej zmieszane uwarstwowanie

*) Nietzsche Niemiec, chociaż nie z rodu, bo rodzina jego jest pochodzenia polskiego, znaczną część życia spędził w Szwajcaryi i południowej Francyi. Grunt niemiecki nie sprzyja powstawaniu anarchistycznej propagandy.

W POGONI.

(Z zapisków dziwaka).

31. marca.

„Studjum głowy kobiecej“. W salonie sztuk pięknych pojawiło się płótno zatytułowane w ten sposób. Temat, jeden z najpopularniejszych, a szczerze mówiąc, najoklepańszych, jakie istnieją w malarstwie, nie usprawiedliwiałby zajęcia się nim, gdyby nie wykonanie, wychodzące po za ramy codziennie spotykanych robót i silnie zaznaczone w niem piętno niepospolitego talentu. Główka młodej, może dwudziestoletniej kobiety nie ma w sobie nic z tych banalnych obrazków, zabarwionych pustym wyrazem twarzy i kombinacyą wszystkich kolorów rozkapryszonej wiosny, jakie się codziennie spotyka w salonie sztuki. Jest to coś zupełnie odrębnego. W ramach poprawnego, prawie idealnego owalu uwięził malarz niepospolitą duszę kobiecą, przezierającą z dużych ciemnoniebieskich, inteligentnych, myślących oczu, z rozumnego zakroju ust, na których drga rozkosz zaklęta w wielkie głębokie i niecodzienne uczucie. Opisywać każdy z osobna rys tej pracy, w której artysta wykazał wiele zalet malarskich, a przedewszystkiem portretową prawie plastykę, znaczyłoby zatracić w opisie ogólne piętno, które pendzel daleko lepiej utwalił na szarym kawałku płótna, aniżeli pióro jest w stanie uczynić to na papierze“...

Entuzyazm, który wieje z każdej prawie litery tego sprawozdania dziennikarskiego, udzielił mi się bezwiednie i już naprzód podziwiam wszystkie nieskonstatowane jeszcze zalety postaci, zrodzonej w tyglu wyobraźni artystycznej jakiegoś malarza. Lubię obrazy. Często nawet odwiedzam salon sztuki, o ile w nim nie odbywa się wystawa żywych kształtów kobiecych, nabytych manier, szyku i modnych kapeluszy, która razi i denerwuje mnie. Ta gwarna śmietanka, która z dzieł sztuki robi sobie efektowne tło dla wzajemnego ostrzeliwania się z uwagami i spojrzeniami, która sanktuarjum wielkich talentów przemienia na targowisko wdzięków i wyścigi lepiej lub gorzej skrojonych ogonów, profanuje artyzm. Nie cierpię jej. Pójdę w cichych godzinach popołudniowych zwykłego dnia, aby zobaczyć główkę kobiecą, którą z niedokładnej recenzyi odtworzyłem sobie już nawet dość wyraźnie. Tak .. ona ma w sobie połowę anioła a połowę mędrca. To jest ten typ, który sobie nieraz wystawiałem jako kompletny ideał kobiety. Połączyć rozkosz, którą młodość i temperament wylewa z siebie śmiechem, pocałun-

narodów wyrobiło więcej odrębności rasowo-psychicznych a wychowanie, mniej skrępowane, nie przycięło dusz wedle szkolnego wzoru.

Nietzsche nie lęka się żadnych konsekwencyj, które z filozofii anarchistycznej płyną. Wypowiada on nieraz myśli, przed któremi cofnęli by się ci, których zwykle anarchistami nazywają. Nie trzeba wielkiej przenikliwości, aby dostrzec, że anarchizm nie może uznawać zbrodni, jako czegoś karygodnego. Zbrodnia jest również tylko indywidualnym przejawem, a to nawet, że jest wyjątkową, nie daje żadnej mocy do jej potępienia. Społeczeństwo nie ma też prawa wymierzać kary: jeżeli ją wyznacza, nie karze, lecz mści się.. i to mu wolno. Myśl tę krótko wypowiada Nietzsche w pięknym aforyzmie: „Sagt der Richter nach dem Urtheile: ich bin gerecht; sollte er sagen: ich bin gerächt.“ (Jeżeli mówi sędzia po wyroku: jestem sprawiedliwy, powinien by rzec: pomszczony). Dzieła Nietzschego to kwintessencya anarchizmu, to jego filozofia i poezja zarazem. Nie mają one też zadania przekonywać i nawracać, w zbyt małym bowiem znajdują się związku ze szczegółami ruchu anarchistycznego. Zajęte subtelnemi i trudnemi zagadnieniami etyki i psychologii nie dla każdego są dostępne i do mas przemawiać nie mogą. Dla propagandy, dla zyskiwania nowych zwolenników istnieje cała literatura, przeważnie w sferze interesów ekonomicznych się obracająca, literatura plakatów, broszur, dzienników. Proudhon, Bakunin, Krapotkin, Reclus i wielu innych, to jej koryfeusze. Malquin, Malato, Mirbeau i cała falanga młodszych, to ich następcy. Dzieła ich wypowiadają namiętną walkę wszystkiemu, co dzisiejsze społeczeństwo za święte uważa lub uważać pragnie: własności, rodzinie, narodowości, prawu. Walka ta prowadzona jest z nieubłagalną zaciekłością, jakby nietylko zniszczyć ale przetrawić chciano wroga. Stirner już przecież mówi: „Wenn du das Heilige verzehrst, hast du es zum Eigenen gemacht. Verdaue die Hostie und du bist sie los“ (Gdy świętość spożyjesz czynisz ją twoją własnością. Straw hostyę a pozbyłeś się jej). Pojęcie prawa, które nawet dla najbardziej przewrotowych rewolucyonistów jest koniecznym cementem, związującym cegły społeczne, odrzucają anarchiści całkowicie. Naprożno chcieć uczynić prawo sprawiedliwem, względnem, jednakiem dla wszystkich: usiłowania te są bezcelowe i z samą istotą prawa sprzeczne. Prawo jest sankcją gwałtu — *la propriété c'est le vol* (własność jest kradzieżą) mówi Proudhon: czyż można je więc uczynić sprawiedliwem! Nie, samo raczej prawo, jako wieczny ślad raz dokonanej zbrodni, usunąć należy. Prawo choćby najsłuszniejsze, już wprowadza czynnik przymusu i żąda władz, które by go strzegły: w podwójny więc sposób, wewnętrzny i zewnętrzny, swobodę ścieśnia. Jak wyglądać będzie współżycie ludzkie bez prawnej spójni, na to mało zadowalniające odpowiedzi znajdujemy. Proudhon, w roztrząsaniu ekonomicznych kwestyj pogrążony, wyobraża sobie, że bank narodowy, w którym każdy składać będzie swe wyroby, a w zamian, na zasadzie oceny przysięgłych taksatorów, inne potrzebne mu do życia produkty otrzymywać będzie, że bank taki całkiem prawo niepotrzebnem uczyni. Stirner chce przerobić społeczeństwo na „Związek egoistów“ *(Verein der Egoisten)*, gdzie jeden człowiek zawsze świadomie kierować się będzie w obec drugiego zasadą: „Szanuję i ochraniam cię, bo cię potrzebuję.“ Dziś prawo żąda, abyśmy szanowali osobę i własność bliźnich w imię ogólnej zasady, że osoba i własność każdego człowieka jest nietykalną. Te uogólnienia, które nakładają obowiązki nie w obec jednostek, lecz w obec pojęcia człowieka, ludzkości i t. d. odrzuca Stirner całkowicie. W „Związku egoistów“

---

kiem, dotknięciem dłoni i zapachem włosów, z głębią duszy rozumnej i dobrej, to byłaby doskonałość. Doskonałości takiej nie widziałem nigdy. Co prawda, nic w tem dziwnego, gdyż szare tło życia nie dostarcza takich egzemplarzy za wiele. Czterdzieści lat egzystencyi, idącej luzem, płynącej wązkiem korytem samotności, mogą w duszy ludzkiej wyrobić niepohamowane pragnienie idealnej kobiety, skoro prócz brudu nie pozwoliły dotknąć się z bliska żadnej z tych promiennych strun czystej duszy kobiecej, na której miłość gra symfonje, tworzące jednym raj, drugim piekło na ziemi. Mści się na mnie egoizm życiowy. Całe jestestwo duchowe woła „ideału!“ cały organizm oddycha pragnieniem nieznanego szczęścia z miękkiej malutkiej dłoni dziewczęcej. Może to *idee fixe*... albo przywidzenie momentalne. Gdyby to drugie...

A przecież ta mała główka ma w sobie coś z doskonałej kobiety. Ba! nie widziałem jej jeszcze. Ów entuzyatyczny wycinek przeczytałem podczas poobiedniego *far niente*, nudnego, bezbarwnego i okropnie mdłego *far niente*. Szezlong, czarna kawa i dużo niebieskiego dymu... ach, jakie to jednakże nielitościwie jednostajne i... filisterskie. Odrzuciłem gazetę. W myślach robi mi się mrok... naturalnie drzemka się zbliża. Lubię zawsze zasypiać, z zaprzątniętą wyobraźnią, najczęściej czemś, czego nie dała mi rzeczywistość. Myślę o tej główce kobiecej. Ciemnoniebieskie oko z uporem wpiło się we mnie, usta rozchyliły się do wyrzutu i recytują długi szereg rzeczy, które dają życiu dużo, dużo kolorów i promieni światła. Och! światła, światła... i barw! Usteczka tej malowanej pani nabrały życia. Deklamuje mi z takiem przejęciem się... ciszej, ciszej, ciszej... Brzmi to jak symfonja, co umiera tonem, który właściwie nie ma końca. Słucha się go jeszcze, gdy już dawno ostatnie wydał tchnienie... Tak i ja jej słucham. Oprócz jej warg, mówią do mnie jej oczy i owal, opisany przez recenzenta malarskiego. Czy tylko nie przesadził ten entuzjasta? Zobaczymy to jutro. Aaa... dziwactwo.

1. kwietnia.

Przybyłem, widziałem... zwyciężyła mnie, a raczej zwyciężył mnie artysta, którego talent skrystalizował się w tem arcydziele barw. To rzeczyczywiście nie robota malarska, ale dzieło. Na tle porozwieszanych obrazów i obrazków najrozmaitszej wartości i różnych odcieni artystycznych, „główka kobieca“, znana mi już z wczorajszych rozmyślań, zwróciła przedewszystkiem moją uwagę. Odebrałem wrażenie, jakgdybym witał kogoś bardzo mi bliskiego,

każdy będzie szanował bliźniego dla korzyści, jaką z jego osoby ciągnie, a nie dla tego, że bliźni ten jest człowiekiem, któremu pewne prawa przysługują. Stosunek takiego „Związku egoistów do społeczeństwa w pewnym stopniu odpowiada różnicy, jaka istnieje między prawem, a zwyczajem obyczajowo-towarzyskim. Prawo dla każdego wstępującego w życie zjawia się jako siła zewnętrzna, narzucająca pewne normy postępowania: nie tłumaczy ono korzyści bezpośredniej, jaką z uległości prawu otrzymać możemy; zaznacza tylko przykre następstwa nieuległości a istnienie swoje motywuje względami wyższej natury czy to np. wolą boską, dobrobytem społeczeństwa i t. d. Przeciwnie, zwyczaje towarzyskie, które w znacznej części są bądź niedokształconem, bądź wyradzającem się prawem — wiele zwyczajów było, a wiele będzie prawami — żądają od nas posłuszeństwa dla łatwo zrozumiałej własnej naszej korzyści. Jeżeli np. należymy do sfery, gdzie pojedynek jest jeszcze szanowany, to zrozumiemy dobrze, że musimy się pojedynkować, chcąc zatrzymać sobie korzyści należenia do tej sfery. Jeżeli się temu zwyczajowi opieramy i nie pojedynkujemy się, to to, co nas spotyka, nie jest analogiczne z karą, wymierzoną przez prawo. Kara prawna stwierdza właśnie jak najdobitniej, że jednostka karana stanowi nieodłączną część karzącego społeczeństwa. Kara zwyczajowa polega tylko na usunięciu winnego z danej sfery, na wykluczeniu go ze „Związku egoistów“, których obraził, widocznie nie potrzebując ich więcej. Inne przez współczesnych już pisarzy stawiane horoskopy, więcej jeszcze są utopijne. Pisarzy tych jest nie mało; liczba gazet anarchistycznych przenosi setkę, zwłaszcza Londyn i Paryż są głównemi ogniskami literackiego anarchistycznego ruchu. „W anarchistycznych grupach, (państw i społeczeństw dawno już nie będzie) — wyobraża sobie Malquin — tak się wzmoże altruizm, że jeden drugiemu dobrowolnie wyrobów użyczać będzie, kłótnie i nieporozumienia staną się niemożliwe, dobrowolna, niespisywana ugoda, odczucie raczej wzajemnych potrzeb, czynami ludzkiemi kierować będą“. Jak się ten bujny rozkwit altruizmu godzić może z drapieżnemi indywidualistycznemi dążeniami, które na dnie anarchizmu leżą, jak się odbywać będzie produkcja, która dziś z natury rzeczy musi być prowadzona na wielką skalę, nie znajdujemy odpowiedzi.

Leon Brunner.

Masy czy bohaterowie?

Motto: Gromada, to wielki człowiek.

III. Historya „urzędowa“ widzi same tylko skrajności: cnoty lub nadzwyczajne zbrodnie. Co zaś pomiędzy tymi skrajnościami leży, bywa systematycznie pomijane. Wynikiem takiego zapatrywania jest przesąd, że ludzie sławni powinni być całkowicie odpowiedzialnymi za swoje czyny. Dlatego też historycy, jakby sędziowie jacy, z wysokości trybunału, na wsze strony ferują wyroki: jednych uwielbiają, drugich potępiają, jednych sadowią w niebie, a drugich w piekle.

Przyczyną tego naiwnego proceduru jest przedewszystkiem brak obserwacji faktów. Powtóre zaś błędna teorja filozoficzna jakoby człowiek był obdarzony absolutną wolnością woli, gdy w istocie jest on zależny od tysiąca okoliczności, o których wcale nie wie. W działaniu naszem dobrem lub złem mamy niezliczoną liczbę wspólników, podżegających nas do czynu; z nimi więc powinniśmy się podzielić zasługą lub błędem. Człowiek musi być takim, jakim go zrobiły dziedziczność, wychowanie i otoczenie. Wiele bowiem skłonności naszych jest wypływem atawizmu, którego przy naukowem badaniu w żaden sposób pominąć nie można. Kryminologia

---

zdawało mi się prawie, że ta kobieta, zaklęta w płótnie malarza, nie jest obcą dla mnie. Tak, to jasne. Ideał kobiety, który wytworzyła sobie moja wyobraźnia pod wpływem całego łańcucha przyczyn, był także ideałem, może chwilowym, tego artysty. Ale co za różnica pomiedzy nami. Mnie wydawało się, że ten człowiek popełnia profanacyę, rzucając taki świetny utwór fantazyi na łup tłustych bankierów i pozujących panków, którzy kupią płótno i zawieszą w swoim salonie obok najbanalniejszego w świecie pejzażu lub obrazka rodzajowego. Chwilami patrzałem, jak złodziej, na to idealne płótno, chciałem je porwać i uciec z niem...

Tak, nie było wątpliwości. To ona! To upersonifikowanie moich marzeń o kobiecie. Znajdowałem cząsteczkę mojego jestestwa w tem arcydziele, czułem się jego współautorem, choć nawet po cichu bałem się przyznać do tego. Płótno? Nie, ja stałem przed tworem bożym, przed arcyproduktem genjuszu, przed kobietą! Kobieta ta ma duszę, patrzy, przemawia do mnie, porusza mnie, zapala, targa moim całym organizmem duchowym. Nie ma ciała... To prawda, ale cóż ztąd? Te głębokie, ogromne, wspaniałe oczy, w których lśnią się, migocą i drgają błyski magnetyczne, nie są gorsze od pary oczu śmiertelnych, na których sen i choroba położyły żelazną rękę swej władzy. Przepyszne, gorejące żądzą pocałunku usta nie ustępują w niczem prawdziwej parze warg, rozchylających się uśmiechem banalności lub obłudy... Te piersi o cudownej, rozfalowanej linii, mająż być gorsze od żyjącego łona, z którego brutalna namiętność wyciska słodycz, aby je potem rzucić zbrukane, wyschłe i wstrętne? Tysiąc razy nie! Znalazłem doskonałość... na płótnie. Czyżby jej w życiu nie było?

15. kwietnia.

Pięć razy byłem w salonie sztuki. Widziałem... ją, bo to nie jest martwa rzecz, ale człowiek-kobieta. Ta sama zawsze, świeża, wonna, rozanielona i ziemska od razu. Nie postarzeje się nigdy. Mam prawdziwą rozkosz siedzieć na opodal stojącem krześle i patrzeć na nią. Odkrywam w tej reprodukcyi ideału kobiety ciągle nowe, a niedostrzeżone dotąd szczegóły. Jestem nawet zazdrosny o ten... obraz, choć pragnę dla niego hołdów i prawie dumny jestem, gdy zwraca na siebie uwagę. Jakiś filister stanął dziś przed nim i obserwując czarującą linię szyi i piersi, rzucił równie głupią, jak gminną uwagę. Zadrżałem z oburzenia, zdawało mi się, że ten błazen ubliżył kobiecie, nie płótnu malarza. Ale za powrotem do domu znalazłem wspaniałą rekompensatę za tę chwilową przykrość. Przeglądając naj-

np. słusznie przypuszcza, że u zbrodniarza odzywają się złe instynkta jego dzikich przodków. Z wpływem dziedziczności łączy się bezpośrednio wpływ wychowania, które się odbywa w młodości człowieka, to znaczy w wieku, w którym wrażliwość na zewnętrzne podniety jest większą, niż później, kiedy indywiduum dojrzeje. Zupełnie sprawiedliwie postąpił sobie Dyogenes, gdy ujrzawszy błądzące dziecko, uderzył w twarz nauczyciela.

Atoli nawet, gdy dojrzejemy, gdy wpływ wychowania już ustąpi, nawet wtedy postępowanie nasze modyfikujemy tą moralnością, która niczem nie jest, jak sumą zapatrywań danego społeczeństwa na jakąś rzecz. Przeto o moralności, jako o dogmacie niewzruszonym, mówić niepodobna, możemy tylko moralność badać w przebiegu dziejowym i obserwować jak ona się w miarę rozwoju zmieniała i inne przybierała kształty. Każdy bowiem obraz historyczny wytwarza nową atmosferę moralną, którą wszyscy oddychają, która albo truje albo ożywia organizm, stosownie do tego, czy jest zdrową lub nie. Tak np. Neron, ów typ despoty rzymskiego był początkowo zupełnie innym człowiekiem, aniżeli później. Powodem zmiany zaś była zepsuta atmosfera, w której żył. Epoka ówczesna wprost nie znosiła istnienia cnoty. Byli ludzie jak filozof Seneka, którzy usprawiedliwiali ojcobójstwo. Wobec takiej zgnilizny moralnej nic dziwnego, że cesarze rzymscy cierpieli na t. zw. *Cäsaren Wahnsinn*, byli oni jedynie odbiciem upadającego świata pogańskiego, nad którym miało zatryumfować niebawem chrześcijaństwo, gdyż anomalje nie mogą w naturze trwać zbyt długo.

Tak samo ma się rzecz z cnotą. Życie św. Wincentego à Paulo poucza nas dostatecznie, że człowiek pozostawiony swoim, bądź co bądź wątłym siłom nie wiele zrobiłby dla bliźnich, choćby był nawet Krezusem. Dopiero współdziałanie wielu jednostek może rzeczywiście doprowadzić do jakichś dodatnich rezultatów. Moralność ludzka jest przeto faktem zbiorowym. Emil Beaussire w dziele *Les Fondaments de la morale* powiada: „Nikt nie zgadnie jak daleko sięga udział innych ludzi i wpływów społecznych w naszych uczynkach; ale również nikt nie zgadnie jaki wpływ nasze słowa i nasz przykład wywierają na postępowanie innych ludzi. Niezliczone pokolenia przekazały nam dziedzictwem pewne usposobienia, dzięki którym jesteśmy tacy a nie inni, i również niezliczone pokolenia odbiorą od nas ten depozyt dziedziczny, zmodyfikowany, przekształcony odpowiednio do naszego sposobu życia. My stanowimy jedno ogniwo z całego szeregu przyczyn, które się później odbiją“. Zauważyć jednak należy, że wpływ jednostki na otoczenie jest bardzo mały i żadną miarą nie może być porównywany z wpływem społeczeństwa na jednostki, choćby ze względów czysto fizycznych. Nadto w badaniach naukowych konieczną jest rzeczą uwzględnić potęgę okoliczności i przypadków, których w żaden sposób obliczyć niepodobna. W ten sposób wykaże się, że wolność nasza w bardzo ciasnych porusza się granicach.

Wolą ludzką rządzą prawa determinizmu; świadczą o tem fakta, które pospiesznemu i mniej bystremu badaczowi zdają się przypadkowymi, a które w gruncie rzeczy ulegają jakiemuś prawidłu. Statystyczne wykazy dowodzą, iż liczba zbrodni popełnionych w danym kraju w przeciągu roku, niemal się nie zmienia, co dowodzi, iż inicjatywa niby osobista, działa pod wpływem ogólnej i stałej przyczyny. Quelet powiada w dziele *Physique sociale*, że w społeczeństwie tkwią zarodki tych zbrodni, które mają się spełnić; społeczeństwo hoduje je, a zbrodniarz jest tylko narzędziem. W każdym przeto stanie społecznym można z góry przewidzieć pewną sumę zbrodni, jako nieuniknione następstwo organizacyi. Dr. Lacassagne zaś twierdzi całkiem zresztą słusznie, iż społeczeństwa mają takich przestępców, na jakich zasługują.

Wobec praw, które rządzą czynami pospolitymi, spotykanymi, że tak się wyrażę, co krok, mylnie postępują historycy, nie zajmując się nimi, jako pozbawionymi, według ich twierdzenia, jakiegokolwiek interesu. Stanowisko to jest fałszywe z tego powodu że właśnie te czyny pospolite stanowią tło moralności publicznej, które jest wynikiem mnóstwa współdziałających czynników. Dopiero moralność ogółu tłómaczy nam, dlaczego na jednych ciskamy kamieniem potępienia, a drugich wynosimy na piedestał chwały. Z mas jakby z ogniska płynie prawdziwa powszechna moralność. *E. Jarmulski.*

świeższe pisma ilustrowane, znalazłem w nich reprodukcyę swojej protegowanej. Świetna robota. Oddaje piękność oryginału z niepokalaną poprawnością. Cieszyłem się, jakby laur tego arcydzieła na moją skroń padał. Kupiłem natychmiast kilkanaście egzemplarzy ilustrowanego pisma i odgjąwszy kartę, na której znajduje się reprodukcya, rozrzuciłem je symetrycznie po pokoju. Patrzy na mnie teraz ze wszystkich zakątków mego mieszkania. Dziś po raz pierwszy przeleciał mi przez myśl ten człowiek, który ją namalował. Jej twórca! Nie wiem skąd, ale wszystkie atomy mojego jestestwa zadrgały na dźwięk tych dwóch wyrazów. Ona jest jego dziełem, jego płodem, jego własnością. Może ją zniszczyć, sprofanować, zniweczyć. Człowiek ten wspomnieniem swojem wzbudził we mnie jakiś dziwny rodzaj zazdrości. Czy jest to zazdrość wobec indywiduum, obdarzonego genialną siłą twórczą, przerastającego o głowę takich, jak ja, zjadaczy chleba, czy zazdrość wobec właściciela tej kobiety? O co jestem właściwie zazdrosny? Nie wiem nie badam tego, nie analizuję, lecz wiem, że tego twórcę i pana jej nienawidzę... nawet za to... że ją stworzył jakgdyby według wskazówek mojej wyobraźni. O, ta kobieta... ten obraz!..

A. Chołoniewski.

(Ciąg dalszy nastąpi).

Proudhon o powszechnem głosowaniu.

I. W Austryi góruje dziś ponad innemi kwestya powszechnego prawa głosowania. Należy ona do spraw najaktualniejszych, wymagających szybkiego rozwiazania. Dla socyalnych demokratów jest powszechne głosowanie niewzruszonym dogmatem, dla demokratów zasadą, dla liberałów instytucyą praktyczną o bardzo wątpliwej wartości, dla większości zaś konserwatystów jest ono brzemienną w groźne następstwa marą. Wobec jej aktualności nie od rzeczy

będzie przytoczyć zapatrywanie na tę kwestyę jednego z najwybitniejszych myślicieli XIX. wieku, autora dzieła o własności, Proudhona. Stosunek jego do idei powszechnego głosowania w różnych fazach życia był różny. W pierwszym peryodzie Proudhon zachowuje się względem niej obojętnie, a nawet skeptycznie. W drugim okresie walczy na śmierć lub życie nie z samą tą instytucyą, ale z doktrynerskimi zapatrywaniami na nią radykalnej partyi, z nieuzasadnionymi nadziejami, z mniemaniem, jakoby powszechne prawo głosowania było panaceum dla wszystkich politycznych i społecznych niedomagań. W ostatniej nakoniec fazie zapatruje się Proudhon na tę sprawę jako teoretyk i filozof i usiłuje uzasadnić jej znaczenie dla dalszego rozwoju państwa i społeczeństwa. W artykule niniejszym przejdziemy po kolei wszystkie te fazy, jakie przechodził wielki myśliciel.

Aż do wybuchu rewolucyi lutowej miał Proudhon mało sposobności do teorytycznego zajmowania się sprawą powszechnego prawa głosowania. Ponieważ hasło to kryło w sobie daleko idące reformy, musiał Proudhon zwrócić na nie uwagę. W roku 1841 pisze on: „Czemże jest, w gruncie rzeczy, ta reforma głosowania, której w skrytości swego ducha mało kto przyklaśnie? Chodzi o to, ażeby masy ludu przypuścić do rozstrzygania w sprawie podatków i do udoskonalenia praw, które zajmując się materyalną stroną życia, dotykają mniej lub więcej kwestyi podatku i wynagrodzenia. Lud od dawna jest przygotowany przez swoich pisarzy i ekonomistów, i wie doskonale, że podatek powinien być progressywny, a zatem dotknąć powinien szczególnie bogatych i przedmioty zbytku. Lud nie potrzebuje lekcyi w parlamencie, ma on już ministeryum publicznych robót, a gdy następnie przyjdą warsztaty narodowe, to nadmiar zysku podniesie wynagrodzenie robotnika i zapełni jego kasę". Ton ten rezenowania i ironii przybiera później ostrzejsze formy: „*kto propaguje powszechne prawo głosowania, jako podstawę porządku, jest kłamcą albo szarlatanem politycznym, który mami jedynie lud*"...

Proudhon drwi sobie formalnie z petycyi o prawo wyborcze, na której zebrano około 200.000 popisów. W dziele o własności czytamy: „Reforma głosowania, powtarzają to nam ciągle, jest środkiem a nie celem. Bez wątpienia, ale co wtedy jest celem? Dlaczego nie wyjaśni się kategorycznie tego celu? Jak ma lud wybierać swoich pełnomocników, jeśli wprzód nie zna celu, dla którego ma posłów wybierać... Odpowiadają nam, że właśnie zadaniem wybrańców narodu będzie szukać przedmiotu reformy. Rzecz śmieszna: kto przeszkadza owym wybrańcom wpierw szukać tego przedmiotu, a gdy go znajdą, ludowi go zakomunikować... Reformatorowie mają słuszność: dopóki cel reformy nie jest jasno zdefinjowany, to ona niczem innem nie jest, jak tylko sposobem wyrwania władzy z rąk małych tyranów i przeniesienia jej do rąk innych. Wiemy już dzisaj, jak to uciska się naród przez wmówienie w niego, że słucha własnych praw. *Dzieje powszechnego głosowania są u wszystkich narodów historyą proskrypcyi wolności w imieniu mas*. Gdyby reforma wyborcza, taka, jaka istnieje, była praktycznie prowadzoną, to możnaby usprawiedliwić popieranie jej, ale tekst petycyi niczego nie określa. Wszyscy Francuzi są uprawnieni do wyboru i wybieralności, możnaby tak samo powiedzieć: wszystkie bagnety są inteligentne, wszyscy dzicy są cywilizowani, wszyscy niewolnicy są wolnymi. Wskutek tego ogólnego określenia jest petycya o reformę wyborczą abstrakcją jedynie i największą zdradą stanu". Dla Proudhona wszystkie te czysto polityczne reformy bez treści społecznej, są bez wartości, jest on tego zdania, że reformy polityczne przez obóz radykalny podjęte, nie wyświetlą interesów ludu, ale doprowadzą do chaosu, na którego podstawach wzniesie się despotyzm. Wszystkie te wątpliwości Proudhona potwierdziła późniejsza historya Francyi. Na gruzach republikańskiego roku 1848 wyrosła monarchia Napoleona III.

Obłęd francusko-rosyjski.

Manifestacye francuskie z powodu zgonu cara, te przymilania się republiki do caratu, gwałtowna „miłość" ku niemu, dla której analogji szukać by wypadało w dziedzinie „przewrotności zmysłowych" (psychopatia sexualis) jednem się dla rozsądnego człowieka tłómaczą: zaraźliwym obłędem masowym, jeśli się niechce zawyrokować o zupełnym upadku moralnym Francyi. Owych kilkadziesiąt tysięcy telegramów, rzuconych przez „wolnych Francuzów" na trumnę człowieka, który był wcieleniem najskarniejszego despotyzmu, to objaw jeszcze wyższy tego obłędu, niż uroczystości kronsztadzkie lub tulońskie. Charakterystycznem jest, że wyrazu tego „obłęd" na określenie obecnych stosunków francusko-rosyjskich użył w druku i to w całkiem dosłownem znaczeniu pierwszy Rosyanin, wielki mistyk-myśliciel hr. Lew Tołstoj w rozprawie swojej p. t. „Chrześcijaństwo a miłość ojczyzny" napisanej tuż po uroczystościach tulońskich. We wstępie tak tłumaczy Tołstoj powstanie owej książki, wydrukowanej naturalnie za granicą:

„Uroczystości braterstwa francusko-rosyjskiego... wywarły na mnie, jak zapewne na wielu innych ludzi, najprzód wrażenie komiczne, potem jednak wywołały zdumienie, nakoniec uczucie oburzenia, któremu chciałem dać wyraz w artykule dziennikarskim. Ale rozmyślając nad przyczynami istotnemi i znaczeniem tego dziwnego zjawiska, przyszedłem do wniosków, które teraz czytelnikom przedkładam". A dalej przystępuje wprost do rzeczy.

„Od wieków — pisze — znają się Rosyanie z Francuzami. Czasami stosunki te były bardzo przyjazne niestety jednak najczęściej nieprzyjazne wskutek wzajemnego podrażnienia przez ich rządy. Aż tu nagle ukazała się przed dwoma laty w Kronsztadzie francuska eskadra, której oficerowie wysiedli na ląd, tu i owdzie dużo jedli i pili wina, przyczem słuchali kłamliwych i głupich mów, lub je wygłaszali. Następnie w r. 1893 przybyła podobnie rosyjska znów flota do Tulonu, a jej oficerowie, udawszy się do Paryża, jedli tam i pili na potęgę i przytem jeszcze głupsze i przewrotniejsze mowy wypowiadali lub ich słuchali, czego skutek był taki, że nietylko ci, co razem ze sobą jedli, pili i gadali, ale także wszyscy, co byli przy tem a nawet wszyscy ci, których nie było tam, tylko o uroczystościach słyszeli lub w pismach czytali — całe miliony Francuzów i Rosyan nagle sobie wyobrażają, że się nawzajem niesłychanie kochają i że wszyscy Francuzi kochają wszystkich Rosyan a wszyscy Rosyanie wszystkich Francuzów". Następnie bierze Tołstoj na stół prosekcyjny owego cuchnącego trupa, który się zwie „miłością francusko-rosyjską", a niechcąc być posądzonym o stron-

niczość przytacza opis owych uroczystości tulońskich dosłownie wedle rosyjskiego pisemka rządowego *Sielskiego Wiestnika*, a dalej pisze:

„Niedawno temu opisał profesor psychjatrji Sikorski w Pracach uniwersytetu kijowskiego obserwowaną przez siebie „psychopatyczną epidemię Malewanistów“, jak ją nazwał, która się objawiła w kilku wioskach gubernji kijowskiej. Istota tej choroby, zdaniem Sikorskiego, była w tem, iż niektórzy ludzie w owych wsiach pod wpływem swego przewodnika, niejakiego Malewanego, wyobrazili sobie, iż niedługo przyjdzie koniec świata i wskutek tego zmienili całe swe życie, rozdawali swe mienie, stroili się, dobrze jedli i pili a zaprzestali pracować. Profesor uznał, że stan tych ludzi nie jest normalny. Mówi on: „Ich niezwykła serdeczność zmieniała się, o lada co, w zachwyt, w stan radosnego podniecenia, który żadnych zewnętrznych powodów nie miał. Usposobienie ich było sentymentalne; przesadnie grzeczni, gadatliwi, ruchliwi, łatwo wylewali łzy radosne, lecz łatwo z nich oczy ich osychały. Sprzedawali najpotrzebniejsze rzeczy, aby kupować sobie parasole, jedwabne chusteczki do stroju i tym podobne rzeczy. Zjadali dużo słodyczy, zawsze uszczęśliwieni z tego, że żyją, prowadzili przytem zupełnie próżniacze życie, odwiedzali się wzajemnie chodzili razem na spacer. Kiedy się im tłómaczyło, jak niedorzeczną jest ich niechęć do roboty, otrzymywało się stereotypową odpowiedź: Jeśli mi przyjdzie ochota, będę pracować, ale że nie mam chęci, po cóż więc mi się przymuszać“.

„Uczony profesor uważa stan tych ludzi stanowczo za objaw psychopatycznej epidemii. Radzi więc rządowi, aby przedsięwziął środki przeciw rozpowszechnianiu się jej i kończy swe wywody słowami: „Choroba Malewanistów jest skargą chorej ludności i prośbą, o uwolnienie od wódki, o podniesienie oświaty i poprawę stosunków zdrowotnych“.

„Ale skoro choroba Malewanistów jest skargą chorej ludności, wołającą o uwolnienie od wódki i od wadliwych stosunków społecznych — w takim razie co za strasznym rykiem skargi, wniesionym przez chorą ludność i co za błaganiem o uwolnienie jej od wodki i fałszywych stosunków społecznych jest ta nowa choroba, która w Paryżu wybuchła i z przerażającą szybkością ogarnęła znaczną część miejskiej ludności we Francyi i prawie całą oficyalną, panującą, cywilizowaną Rosyę?

„A jeśli się powiada, że choroba Malewanistów jest niebezpieczną i że rząd dobrze zrobił, iż idąc za radą profesora, zamknął przewódcę i kilku jeszcze do domów waryatów i klasztorów, a resztę wysłał do oddalonych okolic, to usprawiedliwionem będzie pytanie: *o ile niebezpieczniejszą musi być pojawiająca się w Tulonie i Paryżu, a ztamtąd rozlewająca się po całej Francyi i Rosyi nowa epidemia i o ile konieczniejszem jest, aby, jeśli już nie rząd, to samo społeczeństwo, przedsięwzięło stosowne środki przeciw rozszerzaniu się tej epidemii?*.

„Podobieństwo między jedną a drugą chorobą jest zupełne. Ta sama niezwykła serdeczność, która bez żadnego powodu przechodzi w zachwyt, ten sam sentymentalizm, przesadna uprzejmość, gadatliwość, te same ciągłe łzy wzruszenia, które bez powodu wybuchają i znowu osychają, ten sam świąteczny nastrój, to samo spacerowanie i składanie odwiedzin, to samo strojenie się w najlepsze suknie świąteczne, to samo zamiłowanie w słodkich potrawach, te same bezmyślne i mgliste mowy, to samo próżniactwo, to samo rozśpiewanie się i rozmuzykowanie, toż samo przewodnictwo kobiet, a u wielu ta sama błazeńska postawa, te *attitudes passionelles*, które Sikorski i u Malewanistów zauważył, t. j. jak ja to rozumiem, owe przybieranie rozmaitych postaw, nienaturalne pozowanie, które się przy uroczystosciach, mowach i bankietach przyjmuje.

„Podobieństwo jest zupełne. Różnica jest w tem jedynie — a jest to ogromna różnica dla tego społeczeństwa, w którem zjawisko powstaje — że tam było to zgłupienie kilku tuzinów spokojnych, biednych chłopów, którzy roztrwanili swe niewielkie mienie i dla tego nie mając władzy nad sąsiadami, przez słowa i przykład jedynie mogli ich zarazić swojem usposobieniem — podczas gdy tu przeciwnie chodzi o zgłupienie milionów ludzi, którzy mają olbrzymie kwoty i środki do rozszerzania swego szaleństwa: poczty, telegrafy, telefony, olbrzymią liczbę dzienników i wydawnictw rozmaitych, które się ciągle drukuje i w mgnieniu oka po krańce świata rozrzuca. Różnica jest także w tem, że pierwsi nie tylko się nie spijali, lecz żadnych silnych napojów nie używali, podczas gdy drudzy znajdowali się ustawicznie w stanie na wpół pijanym, który ciągle w sobie podtrzymywali. Dlatego to dla społeczeństwa, które jest widownią tego zjawiska, różnica między wybuchłą w gubernji kijowskiej epidemii podczas której nikt nie słyszał nawet o żadnym gwałcie lub morderstwie, a epidemią, która powstała w Paryżu, gdzie już podczas samego uroczystego pochodu zaduszono więcej niż dwadzieścia kobiet, jest jak różnica między kawałeczkiem węgla, który wypadłszy z pieca żarzy się na podłodze, ale prawdopodobnie nie zatli jej, a między ogniem, który już drzwi i okna ogarnął. W najgorszym razie skutki epidemii w gubernii kijowskiej, mogłyby być takie, że owi chłopi, jakaś cząstka milionowa całej Rosyi, straciwszy wszystko co pracą rąk swych uzyskali, nie będą mogli płacić podatków. Skutki zaś tulońskiej i paryskiej epidemii, która spadła na ludzi, która ma do rozporządzenia straszliwą potęgę: olbrzymie sumy, narzędzia gwałtu i rozszerzania swego szaleństwa, mogą i muszą być okropne.

„Można pobłażliwie słuchać niedorzeczności, które słaby, stary, bezbronny głupiec w szlafmycy i szlafroku plecie, nie przeszkadzając mu, można mu nawet żartem przytakiwać. Ale kiedy cała masa silnych waryatów wyrwie się ze swoich cel i kiedy ta masa, obwieszona od stóp do głów ostrymi sztyletami, szablami i nabitymi rewolwerami, w napadzie wściekłego szaleństwa tą bronią śmiertelną wstrząsa, z tego nie można już żartować i ani minuty nie można być spokojnym. Podobnie jest z tym stanem podniecenia, wywołanym przez francusko-rosyjskie uroczystości, w którym się obecnie francuskie i rosyjskie społeczeństwo znajduje. Ludzie, których obecnie ta choroba umysłowa ogarnęła, są w posiadaniu najstraszniejszych narzędzi mordu i zniszczenia.

„Ale prawda, we wszystkich przemówieniach i we wszystkich toastach podczas tych uroczystości i we wszystkich ich opisach jest mowa o tem, że znaczenie tych wszystkich wydarzeń polega właśnie na zabezpieczeniu pokoju. Nawet ci, co marzą o wojne, nie wspominali o nienawiści ku tym, którzy zabrali prowincye Francuzom, lecz o pewnego rodzaju miłości, która równocześnie — nienawidzi.

„Jednak znaną jest chytrość wszystkich waryatów i właśnie to ciągłe powtarzanie, że się nie chce wojny, tylko pokoju, i przemilczenie tego, o czem wszyscy myślą, to właśnie jest groźnem zjawiskiem.

„Ani jednej mowy, ani jednego opisu nie było bez twierdzenia, że celem tych wszystkich orgii jest pokój Europy. Pan Zola, który niedawno jeszcze pisał o tem, że wojna jest konieczną a nawet potrzebną, jak pan Vogué, który więcej, niż jednokrotnie w pismach to swoich wyraził, ani słówka nie powiedzieli o wojnie, tylko o pokoju. Obrady Izby rozpoczęto mowami o niedawnych uroczystościach, przyczem mowcy twierdzili, że te uroczystości są zwiastunami pokoju

dla Europy. To jest zupełnie tak, jak gdyby jakiś człowiek, wszedłszy w spokojne towarzystwo, każdego z osobna zapewniał, że wcale a wcale nie ma zamiaru wybić mu zębów, lub mu kości połamać, albo oczy powybijać, że owszem on chce spokojnie wieczór przepędzić.

— O tem nikt nie wątpi — odpowiedziano mu by — ale jeżeli pan masz tak okropne zamiary, to niechże pan przynajmniej o nich nie mówi.

„W wielu artykułach dziennikarskich o owych uroczystościach wyrażono nawet całkiem naiwnie poprostu zadowolenie z tego, że podczas festynów nikt nie odezwał się z tem, co *tacitu consensu* postanowiono zamilczeć, że tylko jakiś nieroztropny człowiek, którego natychmiast policya zabrała, zawołał głośno, co sobie wszyscy myśleli, mianowicie „Niech przepadną Niemcy". Podobnie cieszą się czasami dzieci, że się im psotę udało ukryć tak bardzo, że ich właśnie ta radość zdradza!"

Tak przeprowadziwszy dowód na to, że sojusz francusko-rosyjski jest niczem innem, jak zwyczajnym obłędem, Tołstoj zapuszcza się w filozoficzne zaciekania z powodu częstych obecnie podobnych objawów, powiada, jak owo krwiożercze podżeganie narodu przeciw narodowi jest niesprawiedliwem, niechrześcijańskiem, że doprowadziło ono do tego stanu, iż dziś się twierdzi, że pokój zawdzięcza się jednemu człowiekowi: carowi Aleksandrowi III.

Tu należy się Tołstojowi pewne wyjaśnienie. Oto niedawno obiegła pisma nasze wiadomość, zaczerpnięta zapewne z obcych, może francuskich, które wykręciły zdanie Tołstoja na korzyść Rosyi, a jak wszelkie dane wskazują, oparta na omawianej rozprawie, że Tołstoj, ten mistyk, marzący o przywróceniu miłości i pokoju pierwszych chrześcijan wśród ludzi, uderzył czołem przed Aleksandrem III, przed jego samowładzą i że wielbi go jako jedynego poręczyciela pokoju. W tej formie podane twierdzenie wyrządziło krzywdę wielkiemu pisarzowi, jak się przekonują czytelnicy z dosłownego przytoczenia owego ustępu, taka bowiem gorzka ironia i boleść z niego przebija, że trudno mieć jakiekolwiek wątpliwości co do jego znaczenia. Pisze bowiem, że obecne stosunki są takie, iż lada kaprys ludzi stojących u steru, niechęć domów panujących, śmiała rozprawa uczonego mogą się stać powodem, abyśmy wszyscy, my wykształceni, miłosierni chrześcijanie porwali się i poszli zabijać ludzi, których aniśmy znali i względem których byliśmy przyjacielsko usposobieni, jak względem wszystkich ludzi. Jeżeli do tego jeszcze dotychczas nie przyszło, jak nas zapewniają, mamy to do zawdzięczenia miłości pokoju Aleksandra III., czy też zamierzonemu małżeństwu następcy tronu z jedną z wnuczek Wiktoryi. Ale gdyby na miejscu Aleksandra stał inny, albo humor Aleksandra się zmienił, albo jeśliby Mikołaj Aleksandrowicz (obecny car *P. R.*) następca tronu, ożenił się z Amalią a nie z Alicyą, to mybyśmy się jak dzikie zwierzęta rzucili wzajem na siebie i z wściekłością wzajem się szarpali. Takiem to jest powszechne mniemanie w naszych czasach. Takie poglądy wypowiada się spokojnie we wszystkich nawet najbardziej postępowych i liberalnych pismach. Jeśli więc my, którzy jesteśmy od tysiąca lat chrześcijanami, nie pościnaliśmy jeszcze jeden drugiemu głów, należy to przypisać okoliczności, że nam na to nie pozwala Aleksander III. Ależ to okropne!" — Takie to zdania odważył się wypowiedzieć miłujący prawdę Rosyanin!

Korespondencja redakcyi.

Pan Kr. St. we Lwowie. Pofatygnj się pan uprzejmie do naszej administracyi a zobaczy pan tu stosy pozwracanych numerów, które opiewają na nazwiska rozmaitych adwokatów, notaryuszy, doktorów, i artystów, a więc ludzi stanowiących kwiat naszej inteligencyi. Ten „kwiat inteligencyi" nie był nawet do tego stopnia ciekawy, ażeby *za darmo* ofiarowany numer nowego pisma odebrać i przeczytać.

Pan W. Mr. we Lwowie. Teatr jako czynnik cywilizacyjny zaspakajający potrzeby umysłowe ludności, zajmuje, bez wątpienia, stanowisko wyższe, aniżeli pierwszy lepszy interes finansowy, z drugiej jednakże strony jest on tak dobrze przedsiębiorstwem pieniężnem, jak np. tramwaj elektryczny, księgarnia albo dziennik. Ciągle wywlekany frazes o „scenie narodowej" jest najczęściej tylko pustą deklamacyą. Przyzna Sz. Pan, że administracya pisma codziennego albo księgarni nie podlega publicznej krytyce, chociaż obie te instytucye tak samo, jak teatr, spełniają pewną kulturną misyę i więcej są warte w procesie społecznym, aniżeli np. sklep korzenny. Dlatego kwestya, kto stoi na czele teatru: adwokat, kupiec czy literat, jest zupełnie obojętna, i wkracza w sferę interesów prywatnych, o których nie mamy prawa dyskutować. Rzeczą dotyczącego pana jest prowadzić teatr tak, ażeby zyskał sobie liczną frekwencyę, a do tego celu prowadzą takie środki, jak dobry i odświeżany ciągle repertoar, znakomity personal, hygieniczna i wygodna sala etc. Rzeczą publiczności jest, w razie gdy teatr nie odpowiada swemu zadaniu, przestać go odwiedzać, co sprowadza bankructwo przedsiębiorcy. To jest nasze zapatrywanie, a artykuł Sz. Pana nie koliduje z nim pod żadnym względem.

Pan St. Zł. w Krakowie. To co napisaliśmy o wystawie nie podobało się panu. Trudna rada. Nie przeszkadzamy panu dalej kultywować czci dla unitrowanych i herbowych opiekunów naszego biednego społeczeństwa. Pozwolimy sobie tylko jako *pendant* do zdruzgotanego przez pana artykułu, podać do jego prywatnej wiadomości to, że po za tendencyą „ekonomicznego podźwignięcia kraju" niektórzy z autorów pomysłu urządzenia wystawy pielęgnowali równie chwalebne aspiracje, ozdobienia się orderami, wejścia do izby panów etc. Wiemy np. pozytywnie, że dla jednego z tych opiekunów społeczeństwa, głównym motorem było nieskrystalizowane marzenie... o orderze złotego runa. Gdyby tak wszystkie tajne sprężyny publicznej działalności naszych wielkich i znakomitych można było wykryć, niezawodnie lud nie pozwoliłby się bezkarnie bałamucić.

Wydawca i odpowiedzialny redaktor: Jan Mańkowski. Z drukarni Ludwika Arbaszewskiego we Lwowie, ul. Słowackiego l. 4.